

W wierszach myślę obrazami

Irena Wyczółkowska, poetka, urodziła się 9 lutego 1941 roku w Warszawie, zmarła 3 maja 2015 roku w Opolu. Ukończyła filologię polską, pracowała w wydawnictwie Uniwersytetu Opolskiego. Współpracowała z radiem Opole. Debiutowała w 1958 roku w „Odrze”. Wydała tomiki poetyckie: „Skóra węża” (1990), „Ptaszysko” (1991), „Balkon bez poręczy” (1993), „Gwar utajony” (1996), „Smocza samotność” (1997). Została wyróżniona Wojewódzką Nagrodą Artystyczną (1992) oraz Nagrodą Artystyczną im. M. Jodłowskiego (1993). Była członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Irena Wyczółkowska, fot. Agencja Gazeta.

Tak, i ja należę do dalekich potomków wybitnego malarza.

Niestety, nie potrafię z całą precyzyjną dokładnością określić rodzaju pokrewieństwa. Z moich dociekań może wynikać, że Zdzisław Wyczółkowski, ojciec mego ojca (Andrzeja Jana) był bratem stryjecznym Leona. Ten sam herb - Ślepowron, te same okolice rodzinne. O ile wiem, Leon Wyczółkowski, który nie miał rodzeństwa (cała czwórka zmarła w dzieciństwie), posiadał liczne kuzynostwo i łączyła je z nim do końca życia serdeczna więź. Moi rodzice mieszkali w Warszawie, tam także, w 1935 roku wzięli ślub. Mama wspominała z żalem, że ojciec bardzo chciał ją przedstawić podziwianemu krewnemu, jednak z powodów, których nie pamiętała, odkładali termin tej ważnej wizyty - i los ją udaremnił: artysta zmarł kilka miesięcy później, w 1936 roku. W domu cioci Haliny (po mężu Kuleszowej) - siostry ojca - widziałam niewielki rysunek Leona Wyczółkowskiego z jego dedykacją. Był to widok małej altanki w ogrodzie. Cudem udało się cioci ocalić tę cenną pamiątkę z wojennej pożogi.

Mój ojciec, żołnierz AK, zginął w sierpniu 1944 roku w Powstaniu. Mamie przypadł los tysięcy warszawiaków - obóz w Pruszkowie, wywóz do Kielc, po wyzwoleniu powrót do spalonej Warszawy. W 1945 roku wraz z siostrą podjęła nie lada decyzję - do końca życia zastanawiała się, czy było to słuszne: wyjechała na tzw. Ziemie Odzyskane, do Otmuchowa koło Nysy. Potem przeniosła się do Opola. Kontakt z rodzeństwem ojca bardzo się rozluźnił. Wszyscy oni, poza wspomnianą ciocią Haliną, zmarli przedwcześnie, w latach 50. i 60. Dodam jeszcze, że wówczas

podróże były bardzo uciążliwe i odległość między Opolem a Warszawą była naprawdę większa niż obecnie! Dlatego o rodzinie ojca wiem niezbyt wiele, jedynie to, co usłyszałam od mamy, żyjącej niełatwą teraźniejszością i wyraźnie o wiele bardziej związanej ze swoimi krewnymi (Koralewskimi).

Mama szczególnie lubiła grafiki Wyczółkowskiego, zwłaszcza litografie przedstawiające drzewa. Reprodukcje tych dzieł wisiały na ścianach naszego mieszkania. Ilekroć odtwarzam w pamięci dom mojego dzieciństwa – widzę i te drzewa. Tak, są piękne, ale bardziej cenię malarstwo: co za niezwykła, przebogata różnorodność! Jakiś czas temu byłam w Krakowie na wielkiej wystawie twórczości tego malarza. Odkrywałam tam na nowo obrazy, które do tej pory, nie wiedzieć dlaczego, przyjmowałam dość chłodno. Jakże prześliczny jest obraz „Ujrzałem raz”, co za umiejętność uchwycenia, z całą naturalnością, nastroju, emocji. Czas – ten Kronos pożerający własne dzieci – patrząc na obraz utrwalający ulotne chwile, pewnie ze złością zgrzyta zębami...I jeszcze jeden obraz, o ile wiem, przez krytykę wcale nie zaliczany do najświetniejszych dokonań artysty. Obraz chyba ostatni: „Wiosna. Wnętrze pracowni”. Według oficjalnej wykładni najważniejszy jest tu odsunięty fotel – symbol nieobecności. A dla mnie to EPIFANIA: Półmrok – i otwarcie okna, uniesiona, fruująca firanka, nagle jasność kwitnącego drzewa. Olśnienie – jak w wierszach haiku.

Niestety, w przeciwieństwie do szczęśliwców Pana Leszka i jego ojca Witolda Wyczółkowskich nie odziedziczyłam ani krzty talentu plastycznego! Ale malarstwo jest mi ogromnie bliskie. W wielu wierszach próbowałam nawet „przełożyć” kształt i kolor na słowa. I bardzo mnie kiedyś ucieszył osąd znanego krytyka literackiego, który stwierdził, że w swych wierszach „myślę obrazami”.

Joanna Sokołowska-Gwizdka (oprac.)



Irena Wyczółkowska

Dobry Łotr

(próba opisu XIV-wiecznego fresku z Miechocina)

Jeszcze zdąży zobaczyć, jak dusza opuszcza jego ciało.

To energiczna Osoba, jedynie przez chwilę

będzie ją miał na ramieniu, trochę się niepokoi,

bo rozpoczęła wędrówkę lewą nogą,

to przynosi pecha – jak dobrze pomyśleć,

że tylko na tym świecie!

Prawa noga duszy tkwi jeszcze w otwartych ustach Łotra,
jest ciemna, może to skaza fresku, a może nauka,
że póki dusza zanurzona w bolesnej krwi – nie może być czysta?
Mógłby ją zatrzymać, och, przygryźć choć na chwilę,
nie robi tego, patrzy na nią z dumą – jak ojciec,
który żył jak żył, lecz dziecku nie dał zginąć,
patrzy z dumą, bo udała mu się ta dusza, ma długie ręce,
dłonie podobne wiosłom, łatwo jej będzie rozumieć obłoki,
tak, ona sobie poradzi w dorosłym Życiu!

Pejzaż z pawilonem

(chiński rysunek z XIV wieku)

Góra? Raczej wzgórze

parę kresek jak niestaranne ściegi –

jakby rozdarte niebo

trzeba było naprędce pozszywać

Drzew zaledwie kilka

jedno uschnięte

tytułowy pawilon ledwie się trzyma ziemi

Jedynie co ważne to mięsiste frędzle

– pionowe rzędy liter u góry obrazu –

w każdej chwili mogą się zsunąć

stworzyć pejzaż

udawać deszcz lub żerdzie parkanu

bujna zieleń zza której podglądasz

tyle a tyle – nie więcej

Taką to rolę chciałby grać

Komentarz

(z tomiku „Wstęp do teorii jawy”)

Patrząc na japońską rycinę

Deszcz i wichura – trudno o lepszy pretekst

żeby się pośmiać z nieszczęścia symetrii:

wiatr ją rozdmuchał

Drzewa wbrew korzeniom

cienie ledwo za nimi nadążą

Troje ludzi wspina się pod górę

krnąbrne parasole – co za widok

jakby ślimak stawiał dęba

Tamci dwoje wracają w pośpiechu –

góra ze świstem chrzęstem

rysuje niebo

kołysząc się we wszystkie strony

(z tomiku „Wstęp do teorii jawy”)

Tylko pędzel i tusz

Ani Beskiej

Brat cesarza podejrzany o spisek –

lekkoduch, mniej znaczący niż puszysty piesek

u stóp nefrytowego tronu,

wszystko za sprawą intryg:

plotkujące kobiety, rzezańcy, urażony mandaryn.

Udaje mu się zbiec, w ostatniej chwili

ocala go przyjazny smok rzeki

niosąc szybciej niż zwykle wąski listek łodzi.

Teraz, na zapadłej prowincji, sprzedaje ryby,

na poplamionym kimonie łuski – srebrne

jak dachówki pałacu podczas pełni.

Nocą maluje. Nigdy przedtem tego nie robił –

tani pędzelek opowiada o koniu:

nie kiełznany, ze skrzydlatą grzywą,

mocniejszy od spizu, od obłoków lżejszy,

pędzi na oślepie – jak gniew, jak miłość.

(z tomiku „Wstęp do teorii jawy”)